

O pomnikach ballada wisielcza



W 1958 r. w tramwaju przejeżdżającym przez plac Dzierżyńskiego, wbrew oficjalnej nazwie nadal zwany przez warszawiaków Bankowym, rezolutny czteroletni chłopczyk spytał ojca, na oko o 20 lat odeń starszego bikiniarza z krawatem w dzikie palmy, uczesanego „na Fanfana”: „Tato, a co to za pomnik? Tego jeszcze nie znam.” - dając do zrozumienia, że już wiele warszawskich monumentów widział. Młody ojciec pouczył synka: „To taki pomnik, na który możesz dupę wypiąć!”, co wywołało widoczną w uśmiechach współpasażerów aprobata, ale i natychmiastową interwencję pana w szarym garniturze: „Pan pójdzie ze mną!”.

Ale nigdzie go nie zabrał, choć Pałac Mostowskich był blisko, gdyż sam w połowie przystanku wysiadł przez zamknięte drzwi z pomocą kilku rosnących pasażerów w „oprychówkach”, czyli naciągniętych na oczy kraciatych kaszkietach, jakie nosili warszawscy chuligani.

A tym czterolatkiem byłem ja.

Rzymskie przysłowie głosi, że książki mają swoje – niekiedy zadziwiające – losy; to samo można rzec o pomnikach. Na Ukrainie n.p. od Rewolucji Godności zaczęła się „leninopad”, czyli obalanie pomników bandyty z Kremla, stawianych przez Sowietów wszędzie na ziemiach podbitych, a po rozpętaniu przez Rosję wojny na pełną skalę wzięto się i za inne symbole imperialne masowo „zdbiające” ukraińskie miasta. Z postumentów znikali carowie i carscy żołdacy - Katarzyna II i rzeźnik Pragi Suworow, a potem i ich utalentowani chwalczy, jak obecny tu w zdumiewającej ilości, nic z Ukrainą nie mający wspólnego Puszkina.

Dlaczego ballada wisielcza? Bo najczęściej odbywało się to z użyciem potężnych dźwigów, unoszących figury opasane stalowymi linami także za szyje. Nam się to kojarzy z demontażem wspomnianej warszawskiej statui „Krwawego Feliksa” 17 listopada 1989. Co prawda za komuny żartowano, że nie trzeba go będzie niszczyć, bo wystarczy zamienić głowę na Słowackiego, który nieopodal pracował w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, bo polski renegat-rewolucjonista został wyobrażony w romantycznym stylu: w rozwianym płaszczu i z grubą księgą („Kapitałem” Marksa?) pod pachą. Stało się inaczej, Boski Julek na Placu znowu Bankowym doczekał się własnego monumentu z jeszcze bardziej romantycznie rozwianym płaszczem niż „Feluś”. Bo tak lud stolicy wołał do unoszonej w powietrze figury sowieckiego kata: „Tak musi być, Feluś!”.



Precedensy były: po 1918 r. w odrodzonej Polsce demontowano oznaki władzy rosyjskiej – szpetny sobór na Placu Saskim, czy – o czym mało kto pamięta – odrażające pseudobizantyjskie ozdóbki i prawosławne kopułki z fasady Pałacu Staszica. Niestety, największy, najpaskudniejszy i najbardziej butny symbol zniewolenia Polski przez sowiecką Rosję, Pałac im. Stalina nadal szpeci serce Warszawy i znajduje licznych obrońców wśród zindoktrynowanych przez dziesięciolecia rodaków. W Warszawie udało się usunąć tzw. „ubelisk” ku czci „utrwalaczy” czerwonej władzy, ale po dziś dzień straszy Aleja Armii Ludowej, czyli komunistycznych morderców, której dzięki oporowi „resortowych dzieci” nie udało się przemianować na Aleję Lecha Kaczyńskiego, jedyne prezydenta stolicy, który ją kochał i zrobił dla niej wiele dobrego. Poza widmem Stalina w centrum stolicy po całej Polsce straszy jeszcze ze trzydzieści pomników „wdzięczności” Armii Czerwonej za to, że nas podbiła i mordowała polskich patriotów, bronione własną pierśią przez miejscowych władarzy wywodzących się z tej samej sfery co rodzina Hollandów i tysiące innych sługusów Moskwy przywiezionych w 1944 r. na sowieckich czołgach.

A te polskie komuchy po zainstalowaniu ich we władzy marionetkowej PRL przez moskiewskich protektorów nie obcyndalały się z niszczeniem dziedzictwa wolnej Polski. Zniknęły wszystkie ulice i place Piłsudskiego, podobnie jak wszystkie co do jednego jego pomniki oraz obrazy i książki przedstawiające nasze zwycięstwo nad bolszewikami. Co prawda nie zostaliśmy jak wszystkie inne kraje „obozu socjalistycznego” uszczęśliwieni monumentalnym pomnikiem Ojca Narodów, gdyż projekt Xawerego Dunikowskiego, który wygrał konkurs, przedstawiał Stalina jako jakiegoś prymitywnego stwora w budionowce i ogromnych sapogach. Komisja konkursowa została rozpedzona – dobrze, że nie rozstrzelana.

Inne, nielubiane przez czerwonych warszawskie pomniki też miały smętne losy, czego przykładem piękna klasyczna konna statua Księcia Józefa. Nie dość, że przed wojną zdobił on fronton zniszczonego przez Niemców Pałacu Saskiego, gdzie mieściły się ważne agendy wojskowe II RP, to i sam nie był miły zdrajcom, choćby z powodu słynnego listu potępiającego Targowicę:

„Odebrałem pismo W Pana Mości Panie Rzewuski, nad którym długo myślałem, co ono ma znaczyć i czyli mam na nie odpowiedzieć? Lecz człowiek poczciwy nie ukrywa swych myśli – wzgarda dla podłych jest jego prawidłem! Tak i ja dziś z W Panem postępuję. [...] Jako obywatel nie mogę służyć radę W Pana, która pod pozorem wolności, upstrzona licznymi bajkami, wsparta jest obcą przemocą. Ci, którzy śmieli dla ich dumy i własnej miłości zaprzedać krew współziomków swoich, są ohydą narodu i zdrajcami Ojczyzny!”

Dlatego pomnik ukochanego przez Polaków Księcia zesłany przez komuchów tkwił latami w chaszczach przed Pomarańczarnią w Łazienkach stworzonych za pieniądze z jurgieltu przez jego stryja, targowiczana Stanisława „Augusta” Poniatowskiego...

Gdy w Rosji za krótkotrwałego złudzenia demokratycznego po likwidacji puczu twardegłowych komuchów obalono w 1991 r. tamtejszy wielgaśny pomnik krwawego Feliksa przed siedzibą KGB na Łubiance, przepowiedziałem, że go odtworzą i właśnie się to stało! Też w Moskwie, w miejscu nieco skromniejszym, acz także znaczącym, bo przed równie co Łubianka monumentalną siedzibą Służby Wywiadu Zagranicznego (SWR), czyli rosyjskiej „razwedki”. Przywrócenia pomnika domagano się i wcześniej, w 2015 r. mer Moskwy Łużkow i lider komunistów Ziuganow chcieli referendum w tej sprawie, a w 2005 r. popiersie Dzierżyńskiego cichaczem wróciło przed siedzibę moskiewskiej milicji, jak objaśniono na skutek „próśb weteranów”.

Odstąpienia nowego pomnika „żelaznego czekisty” dokonał sam dyrektor SWR Siergiej Naryszkin, który oznajmił z satysfakcją:

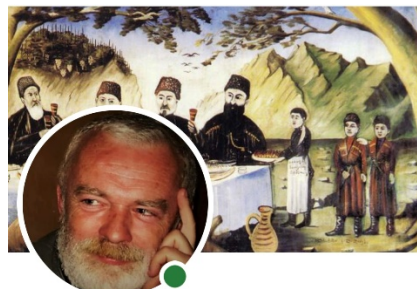
„Ta rzeźba to nieco mniejsza kopia słynnego pomnika Dzierżyńskiego, wzniesionego na placu Łubianki w Moskwie w 1958 roku. Na naszą prośbę utalentowany moskiewski rzeźbiarz Władimir Iwanow zadał sobie wiele żmudnej pracy, aby jak najwierniej odtworzyć wizerunek rycerza rewolucji, który do końca pozostawał wierny ideałom dobra i sprawiedliwości.”

Tego z Łubianki obalać zaczął moskiewski lud, ale musiał tego dokonać dopiero ciężki sprzęt, bo bydlę było solidnie odlane w metalu, natomiast gdy warszawski „żelazny Feliks” uniósł się w powietrze z postumentu, zdarzyła się rzecz niespodziewana – opasująca go stalowa lina spowodowała, że nagle rozpadł się na kilka kawałków! Gdy przyglądaliśmy się szczątkom, odkryliśmy ze zdumieniem jeszcze jeden komuszy szwindel – rzekomo spiżowy pomnik okazał się wypełniony pod cienką warstwą metalu marnym cementem! Zaiste był to znakomity symbol komunizmu – pozory potęgi, a pod spodem nędzota.

Jak w tym kontekście rozumieć równie zadziwiający fakt, że na dniach w Niemczech sam z siebie rozleciał się konny monument Merkel? Znak czasu? Oto „żelazna kanclerz” okazała się „człowiekiem z gipsu” i takiż spadek zostawiła rodakom - Vaterland w proszku...

Ale coś mi wygląda na to, że nie będzie chętnych do odbudowy jej pomnika...

Autor:



Jerzy Lubach